

W tym roku przypada 60. rocznica wybuchu II wojny światowej i 55. rocznica Powstania Warszawskiego. W powstaniu tym pracowała, dzisiaj owiana legendą, radiostacja Błyskawica. Na temat niej samej i jej konstruktora pisano w prasie wiele, był także wyemitowany przez telewizję film. Również w C&ER został opublikowany schemat i krótki opis powstańczej radiostacji. Redakcji udało się odwiedzić w Łodzi konstruktora Błyskawicy - cieszącego się dobrym zdrowiem, wciąż aktywnego krótkofalowca Antoniego Zębika SP7LA.

Antoni Zębik SP7LA

Red.: Jest Pan jednym z pierwszych licencjonowanych, przedwojennych jeszcze krótkofalowców polskich. Jest Pan również konstruktorem radiostacji - legendy. Proszę przybliżyć, szczególnie naszym młodym czytelnikom, jak doszło do zbudowania radiostacji w okresie okupacji hitlerowskiej. Jak wiemy z historii, po wybuchu wojny wszyscy krótkofalowcy musieli zdeponować swój sprzęt, a niejedynemu przypłacił jego posiadanie życiem.

SP7LA: Opowiem po kolei, od początku. W 1938 r. wstąpiłem do Polskiego Związku Krótkofalowców. Otrzymałem licencję nr 273 i znak wywoławczy SP1ZA. Jeszcze przed wojną odbyłem służbę zasadniczą w radiokompanii telegraficznej 7 DP w Częstochowie. Zmobilizowany w sierpniu 1939 r., służyłem jako dowódca radiostacji 7 Dywizji Piechoty. Tę radiostację (znak wywoławczy SP2KL) również sam skonstruowałem. Niestety, nie było dane wykorzystać jej w działaniach wojennych, ponieważ była przystosowana tylko do pracy stacjonarnej.

Któregoś dnia, jeszcze na początku kampanii, mój dowódca, kpt. Larys, przekazał mi rozkaz dowódcy dywizji gen. Gąsiorowskiego, żeby zniszczyć zdeponowane amatorskie radiostacje przedwojennych krótkofalowców, przechowywane przez nasze władze w Częstochowie na pocztach. W tym czasie na naszym terenie toczyły się już walki. Wziąłem żołnierzy, motocykle, materiał wybuchowy... Kiedy jednak przyjechałem na pocztę w Częstochowie okazało się, że rozkaz będzie trudno wykonać: przebywał tam prawdziwy tłum ludzi, którzy zebrali się w oczekiwaniu na dalsze wydarzenia; oni po prostu nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Byli w całym gmachu poczty, wszędzie, w każdym jej zakątku, nawet tam nocowali. Po prostu nie mogłem wykonać rozkazu, bo ani nie było jak tych radiostacji usunąć, jak przewieźć, ani ludzi gdzie usunąć. Wymontowałem więc z tych stacji wszystkie najważniejsze elementy: lampy, kwarce itd. i przewiozłem je do domu moich rodziców w Częstochowie. Powierzyłem je matce, jako rzecz społeczną, państwową, którą trzeba przechować przez wojenną zawieruchę. Nikt z nas nie przewidywał, że to będzie tyle lat...

Red.: Części te, to był początek Błyskawicy?

SP7LA: Tak, ale oczywiście wtedy nie miałem żadnych planów związanych z tymi podzespołami. Tak naprawdę, wtedy najbardziej bałem się złożyć meldunek dowódcy. W końcu nie wykonałem rozkazu i groził mi za to sąd wojenny. Ale mój dowódca powiedział tylko: "Dobrze zro-

biłeś"... W końcu cały ten sprzęt został skutecznie unieruchomiony i nie mógł być przez wroga wykorzystany.

A zostaliśmy rozbici przez Niemców w 14. czy 15. dniu działań wojennych. Grupy żołnierzy pogubiły się, znalazły się w rozsypce. Mnie i moich kolegów, niesamowicie zmęczonych, Niemcy znaleźli w jakiejś stodole, w której szukaliśmy schronienia i kryjówek.

Trafiliśmy do przejściowego obozu jeńckiego w parku jakiegoś majątku. Nie było tam żadnego ogrodzenia, więc przy pierwszej okazji uciekłem stamtąd razem z kolegą.

Ale przecież nie mogłem wrócić do domu. Zatrzymałem się więc w miejscowości Nowa Wieś i powiadomiłem żonę, gdzie jestem. Dopiero od niej, kiedy przyjechała do mnie, dowiedziałem się, co się działo w domu. Gestapo, które wkroczyło zaraz za armią, przeprowadziło rewizję u wszystkich krótkofalowców.

Dopiero pod koniec roku odważyłem się wrócić do domu. Wtedy właśnie urodził się mój syn. Z tego też okresu pochodzą moje pierwsze kontakty z konspiracją.

Mój przyjaciel, Jan Guziuk, pseudonim "Orlicz" (chodziliśmy razem do szkoły), miał już wtedy kontakty z kilkudziesięcioma innymi osobami. To on poinformował mnie, że powstaje konspiracyjna organizacja wojskowa o dużym zasięgu. Chodziło o ZWZ, ale na początku znaczyło to Związek Wojskowych Zawodowców, dopiero później Związek Walki Zbrojnej. Kiedy składaliśmy przysięgę, każdy z nas wiedział, że ryzykuje życiem, i to nie tylko swoim, ale i rodziny. Dziś jako kombatanci, z dystansu wielu lat, opowiadamy, że robiliśmy to czy tamto. Ale jak prawdziwie oddać to, co czuliśmy wtedy? Widziałem przecież, jakie były kary Niemców, jeśli u kogokolwiek znaleziono choćby radioodbiornik.

Kiedy więc wróciłem do domu zapytałem, co ze sprzętem radiowym, który zostawiłem na przechowanie. No cóż, przykre to, ale takie były czasy: wszystko, łącznie z lampą RK 28 z mojej radiostacji, którą przed wojną specjalnie sprowadzałem z Ameryki, w obawie przed rewizją zostało wrzucone do ustępu. Postanowiłem sprzęt odzyskać. Przy wielkim zainteresowaniu wszystkich mieszkańców kamienicy został przeprowadzony połów. Ale wyłowiliśmy wszystkie lampy. Te, które uznałem za potrzebne, schowałem na strychu, nad moim mieszkaniem, żeby nikogo nie obciążać w przypadku rewizji. Podzespoły leżały sobie na strychu, a ja nie mogłem znaleźć spokoju. Wydawało mi się, że trzeba je jakoś wykorzystać.



Postanowiłem więc odnowić swoje kontakty z przyjaciółmi-krótkofalowcami, głównie z Warszawy, i kompletować sprzęt. Byłem pewien, że nasza organizacja będzie nadal walczyć, i że o tej walce będzie powiadomić cały świat.

Red.: A co z pracą? Przecież trzeba było mieć papier, że się gdzieś pracuje?

SP7LA: Tak, rzeczywiście, jak wszyscy, musiałem oficjalnie gdzieś pracować. Niemcy wiedzieli, że mój zawód to radiotechnika i dali mi wybór: albo wyjadę na roboty do Niemiec, albo będę naprawiać radia. Zapytałem wówczas swoich władz konspiracyjnych i w odpowiedzi usłyszałem, że dobrze jest mieć dostęp do sprzętu i podzespołów. Najpierw poszedłem do warsztatu, który naprawiał radia. Ale krótko tam pracowałem, bo założyłem własny zakład elektroinstalacyjny. I choć zakład ten nigdy żadnej instalacji nie wykonał, to przecież miałem papierek.

W tym czasie gromadziłem sprzęt radiowy, w sumie przez około trzy lata. To było straszliwe ryzyko: za każdą część przywiezioną z Warszawy groziła śmierć, a takich części było kilkadziesiąt. Jeździłem sam, bo przecież nikt nie mógł wiedzieć, co robię. Z małymi podzespołami było łatwiej, ale czasami trzeba było przywieźć coś większego. W takim właśnie celu zbudowałem kuchenkę elektryczną, porządną, na trzy fajerki. A zaprzyjaźniony sklep w Warszawie wystawiał mi na nią rachunek. To prawie jak przepustka, bo dla Niemców tylko rachunek był ważny. Kuchenkę zawinięta w papier ustawiałem na półce w pociągu. W środku, w specjalnie sporządzonej skrytce, były schowane te elementy, które akurat potrzebowałem przewieźć.

Kontrola była zawsze w Koluszkach. Niemcy patrzyli na "właśnie kupioną" kuchenkę, pytali o rachunek, czasem któryś z nich oddał papier, popatrzył - kuchenka. Kiedy jechałem z kuchenką do Warszawy, też brałem na nią rachunek, tym razem od znajomych ze sklepu w Częstochowie. I w taki oto sposób kuchenka elektryczna wędrowała między Częstochową i Warszawą, a w środku jeździły podzespoły radiowe.

Red.: Kiedy jednak zrodziła się myśl zbudowania radiostacji?

SP7LA: W styczniu 1943 r. dowódca Inspektoratu "Ura" (czyli 7 DP AK), gdzie byłem oficerem ds. technicznych i koordynatorem łączności, zwołał naradę roboczą poświęconą między innymi sprawie zabezpieczenia łączności. Zresztą system łączności był bardzo rozbudowany, to jakby osobny rozdział i dużo by można o tym opowiedzieć.

Uczestniczyłem w tej odprawie. Zwykle przyjeżdżali na takie odprawy łącznicy z Komendy Głównej z Warszawy, a wówczas przyjechał łącznik "Leon" (prawdopodobnie nazywał się Korzeniowski). Spotkanie przeciągnęło się późno w noc, nadeszła godzina policyjna. Zdekonspirowałem się więc i zaprosiłem łącznika na nocleg do domu. W prywatnej rozmowie przedstawiłem mu propozycję zbudowania radiostacji fonicznej. Przewidywane koszty takiej operacji obejmowały wynajęcie domu i oddelegowanie ludzi do pomocy. Cały sprzęt i moją pracę oddawałem do dyspozycji KG. "Leon" był zaskoczony, bo takie propozycje nie zdarzyły się co dzień.

Przekazał mój pomysł do Warszawy. Projekt, jak się później dowiedziałem, został

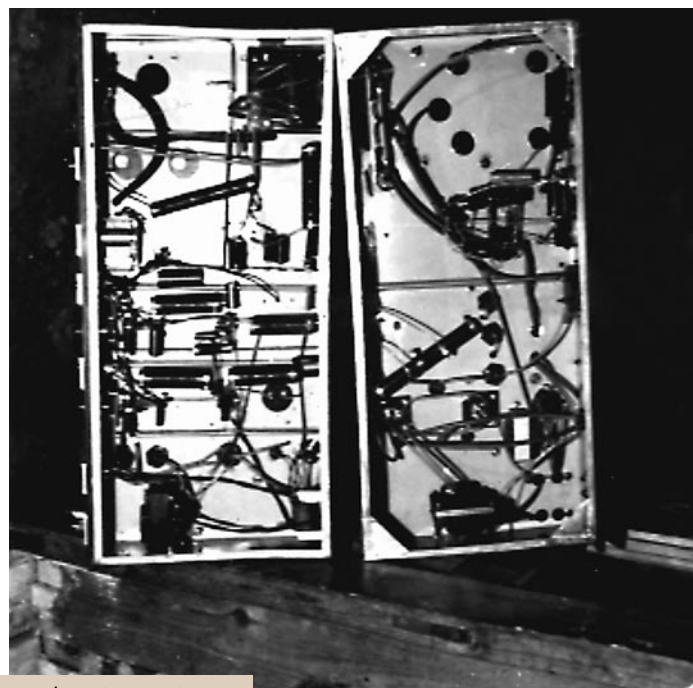
przyjęty z zadowoleniem, co więcej, władze AK miały podobne plany.

Później jeszcze raz tylko widziałem się z Leonem. Został aresztowany przez gestapo w Radomiu, ale udało mu się brauwurowa ucieczka. W bardzo opłakanym stanie dotarł do mnie. Przechowywaliśmy go chyba przez tydzień, potem został przewieziony gdzie indziej. I tak mój kontakt z KG się urwał.

Szefem referatu budowy sprzętu łączności radiowej w KG był wtedy Czesław Brodziak ("Adler"), krótkofalowiec SP1QC, mój znajomy jeszcze sprzed wojny. Domyślił się on, że jeśli w Częstochowie ktoś chce zbudować radiostację - to prawdopodobnie ja. Pewności jednak nie miał i kiedy przyjechał do mnie, nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Ale szybko doszliśmy do porozumienia. Przekazałem projekt radiostacji do KG. Potem wprowadziłem jeszcze jakieś poprawki: skróciłem okres montażu, opracowałem możliwość zasilania z agregatu spalinowego. Ustaliśmy też, jak mam radiostację przekazać - za pokwitowaniem, którym była połówka przedartego blankietu pocztowego.

Red.: Budowa radiostacji w warunkach okupacji, jak wiemy, groziła śmiercią. Gdzie budował Pan urządzenie?

SP7LA: Sam musiałem wyszukać miejsce, w którym można było budować radiostację. To była jakby konspiracja w konspiracji. Od mojego kolegi, byłego kolarskiego mistrza Polski, Bolesława Drożdża, wynajęliśmy strych domku. Był on mechanikiem, podczas wojny prowadził warsztat naprawy rowerów, nawet pomagał mi w niektórych pracach z zakresu mechaniki, ale do końca nie wiedział, nad czym pracuję. Jak się dowiedział, radiostacja była już prawie gotowa.



Błyskawica i jej konstruktor (1943 r.).

Zdążyłem z budową stacji przed terminem. Prace rozpocząłem w połowie kwietnia, a zakończyłem 15 sierpnia 1943 r. Już niejako na koniec wynikła poważna komplikacja z lampą RK 28 (jedna z tych "wyłowionych") - jak się okazało, nie miała ona próżni. Przekazałem ją do naprawy w zakładach Philipsa w Warszawie, choć to było bardzo trudne, bo lampa miała całkiem spore rozmiary i trzeba było szukać kontaktu drogą konspiracyjną. W końcu lampę do Warszawy zawiozła łączniczka, Janina Lipińska, w niemieckim termosie reklamowym, z którego usunięto oryginalną bańkę szklaną. I choć nie udało się tej lampy naprawić, to dostałem dwie inne. Najpierw myślałem, że to z zakładów Philipsa, ale później okazało się, że ofiarował je jakiś warszawski krótkofalowiec. No ale do nowych, innych lamp trzeba było radiostację przerabiać: musiałem dość znacznie przerobić nadajnik, obniżeniu uległa jego moc.

Cała moja praca, od samego początku, była wykonywana wyłącznie w nocy, przy wymaganym wówczas kompletnym zaciemnieniu. Nawet ludzie z mojej osłony nie wiedzieli dokładnie, co robię. I choć broń mogliśmy mieć, jaką chciałem, to przecież na strych armaty nie było można wstawić. Mieliśmy więc peem Bergmann, jakieś granaty i pistolety. Mój ojciec zbudował na strychu tego wynajętego domu ślepy komin, w którym był schowek na radiostację. Do tego schowka wkładało się wszystkie podzespoły radiostacji i na dzień zamurowywało się go cegłami. Tak samo na dni przerwy w pracy, bo przecież przez cały czas pełniłem obowiązki oficera łączności, a nasze punkty łączności bez przerwy pracowały. Mój dowódca wiedział wprawdzie, że mam jakieś specjalne zadanie, zleczone "z góry", ale nawet on nie wiedział, o co dokładnie chodzi.

Red.: A antena? Jak można zrobić w warunkach konspiracyjnych antenę nadawczą? Jak sprawdzić słyszalność z dużej odległości?

SP7LA: Z anteną to Drózdź podsunął pomysł. Był on zamiłowanym wędkarzem. Wykorzystując swój warsztat mechaniczny i swoje zdolności pospawał z kawałków stalowego pręta długie wiertła i przewiercił nimi w środku... bambusy od wędek. Do tych bambusów wsunęliśmy odcinki przewodu. Poszczególne części zostały połączone metalowymi skuwkami i można było taką antenę stopniowo wysuwać przez komin.

A słyszalność? Tu pomógł mój przyjaciel z Krakowa, Ładysław Jakubowski SP1CU, przedwojenny krótkofalowiec. Właśnie jemu powierzyłem zorganizowanie nasłuchu.

Spisał się doskonale, bo zorganizował nasłuch nie tylko z Krakowa, gdzie mieszkał, ale także wyjeżdżał w teren, gdzie się tylko dało. Co 3 dni otrzymywałem meldunki przez punkty kontaktowe, drogą konspiracyjną, że stacja jest słyszalna.

Od 1 września 1943 r. stacja pracowała codziennie, przez 15 minut na dobę, między 16.00 a 16.15. Nadawałem z gramofonu niemiecką muzykę rozrywkową z płyt.

Miałem świadomość, że prędzej czy później Niemcy mnie namierzą. Znałem doskonale system ich radiolokacji, pewnie lepiej niż ci, którzy obsługiwali urządzenia goniometryczne. Przygotowując się na najgorsze, już wcześniej razem z moim ojcem zbudowaliśmy w innej dzielnicy miasta skrytkę, w której można było ukryć radiostację. Tyle, że nie zdążyliśmy jej tam przewieźć, kiedy zostałem wezwany na policję. Na moje szczęście sprawą początkowo nie zajmowało się gestapo, ale Schutzpolizei i służby radiomiarowe.

Miałem do wyboru dwa wyjścia: spróbować przewieźć radiostację do skrytki i potem, nie stawiając się na wezwanie policji, uciec do lasu. Mogłem też pójść na wezwanie, ale po zorganizowaniu pracy nadajnika o normalnej, stałej porze. To była trudna decyzja. Pamiętam, że całą noc wtedy nie spałem. Ze strachu, ale i rozmyślając, jak rozegrać tę sprawę. Miałem nadzieję, że o moim budowaniu radiostacji nic nie wiedzą, bo zlikwidowałyby mnie już dawno. I że wzywają mnie na chybił-trafił, jako specja od radiotechniki, jednego z wielu podejrzanych. A jeśli tak, to od tego, czy potrafię Niemców oszukać, zależało bezpieczeństwo nie tylko moje, ale i całej mojej rodziny. Niestety nie mogłem się tymi wątpliwościami z nikim podzielić, nawet z rodziną. To były naprawdę koszmarnie trudne chwile. W końcu postanowiłem, że zaryzykuję i pójdę. W nocy pokazałem mojemu gospodarzowi, panu Drozdźowi, radiostację i poinstruowałem go, jak uruchamia się nadajnik. Zobowiązał się nadać muzyczny komunikat, jak zwykle o 16.00. A ja poszedłem na policję.

Niemcy nastavili odbiornik na częstotliwość mojej radiostacji. O stałej porze zabrzmiała muzyka, tak jak przez wiele dni wcześniej. Zapytano mnie, co o tym myślę. Proszę mi wierzyć, że chociaż sytuacja bynajmniej nie sprzyjała radości, bo przecież nie wiedziałem, jak to się wszystko skończy, słuchanie własnej radiostacji na znakomitym goniometrycznym odborniku było prawdziwą satysfakcją. Prawdziwą satysfakcją i jednocześnie ogromną ulgą - Niemcy nie wiedzą niczego, bo przecież inaczej już by mnie na świecie nie było.

Podali mi namiary, przybliżoną lokalizację na Raków (przedmieście Częstochowy) i pytają, co ja o tym myślę, skąd ta radiostacja może nadawać. Powiedziałem, że to chyba gdzieś w okolicach Rakowa (czyli tam, gdzie faktycznie radiostacja była). Czy mogli podejrzewać, że sam ich na siebie kieruję? Puścili mnie wolno do domu.

Red.: Jak dobrze wiem, po tym incydencie radiostacja była przewieziona. Czy Pan wiedział, co się z nią działo?

SP7LA: Najpierw przewieziono ją do bunkra - tej skrytki, która przygotowałem razem z ojcem. Oj, to była poważna i niebezpieczna operacja. Foniczna radiostacja, z modulatorem, z zasilaniem, razem trzy spore skrzynie, ponadto osprzęt, wszystko to trzeba było przetransportować do innej dzielnicy. Człowiek, który tego dokonał, nawet nie należał do organizacji. Był to Franciszek Brodziak, rodzony brat "Adlera". Szukałem pospiesznie kogoś, kto mógłby przewieźć ten niebezpieczny ładunek, a on pracował w administracji i przewoził dla Niemców słomę; wydawało się, że właśnie pod tą słomą można radiostację względnie bezpiecznie ukryć. Kiedy usłyszał o co chodzi, zbłądł trochę, ale nie zastanawiał się długo, natychmiast się zgodził. Wprawdzie została zaangażowana cała moja osłona, z pistoletami i granatami. Gdyby Niemcy nas zatrzymali, prawdopodobnie rozegrałaby się bitwa.

Radiostacja przeleżała w skrytce do końca 1943 r. Została wydana w noc sylwestrową z 1943 na 1944 rok, a odebrał ją Stefan Pabiańczyk, pseudonim "Tadeusz". Miał się nią opiekować bardzo krótko, najwyżej kilka dni, a potem miała ją przejąć Warszawa. Jeszcze przed przekazaniem radiostacji, po wyjęciu jej ze skrytki, przeprowadziłem wszystkie próby na sztucznym obciążeniu, bez anteny, tylko z opornikiem. Wszystko było sprawne i funkcjonowało, jak trzeba.

Radiostacja została ukryta w domu jednego z konspiratorów. A Warszawa, niestety, nawaliła. Być może oni nie przywiązywali do tej stacji aż tak dużej wagi, bo równolegle Oddział V sztabu KG AK budował drugą radiostację, ukrywaną w gmachu Politechniki Warszawskiej. No, nawet dość łatwo to sobie wyobrazić - specjaliści z V Oddziału mieli swoją rangę, a tu nagle pojawił się jakiś radioamator. Tę moją radiostację traktowano więc jako zapasową i nie dopilnowano jej odbioru od Pabiańczyka.

Była przechowywana w złych warunkach. Jeszcze w Częstochowie ukryto ją pod sianem; nie było mnie przy tym, wiadomo - konspiracja, więc nie mogłem temu zapobiec. Tam podzespoły zawilgotniały po raz pierwszy. A przecież to radiostacja, nie czołg.

Do Warszawy Błyskawica została przewieziona przed samym powstaniem. Są różne wersje na temat jej transportu, ale nigdy nie udało mi się ustalić, jak to było. Dzisiaj już pewnie nikt tego nie wie dokładnie. Według moich informacji pomogli przy tym Austriacy. W Warszawie radiostację przejął Chojnacki, mój kolega, który zginął w pierwszych dniach powstania. Składowano ją przy ulicy Huculskiej. Nic nie wiem na temat warunków jej przechowywania, ale straszliwie zamokła. A była ogromnie potrzebna, bo Politechnika znalazła się w rękach niemieckich i radiostacja skonstruowana przez fachowców KG AK nie mogła już pracować.

Wiem o tym wszystkim tylko z relacji kolegów, bo przecież sam byłem w tym czasie w Częstochowie. Acha, muszę jeszcze dodać, że podczas transportu z Częstochowy do Warszawy zaginął cały osprzęt: mikrofon, gramofon, kable, antena, a co najgorsze - dokumentacja i szczegółowa instrukcja. Tym większe więc uznanie należy się kolegom, którzy mimo wszystko Błyskawicę uruchomili. Byli to: inż. Henryk Paśnicki, inż. Roman Kitzner oraz inż. Czesław Brodziak.

Zamknięte części radiostacji suszono żarówkami 500W, wentylator nadmuchiwał gorące powietrze przez tekturowe, prowizorycznie zrobione rury. Po kilkudziesięciu godzinach suszenia radiostację ponownie zmontowano. Przypuszczam tylko, że nie udało się uratować zalanych mierników, bo mierniki to urządzenia delikatne i precyzyjne, jak zegarek.

Ale radiostacja w końcu ruszyła. Pracowała przez całe powstanie, od 8 sierpnia do 4 października, najpierw w gmachu PKO przy Cewiętokrzyskiej, potem w innych miejscach, niezawodnie i bezawaryjnie. Ja także słuchałem w Częstochowie swojej radiostacji, komunikatów powstańczych nadawanych z Warszawy.

O stacji z Politechniki wtedy jeszcze nie wiedziałem, zresztą zawsze poznałbym swoją po modulacji.

Red.: A co działo się z Panem w kolejnych miesiącach wojny? Słyszałem, że przebywał Pan w wielu obozach?

SP7LA: W związku z moją funkcją koordynatora łączności w Inspektoracie podpisywałem liczne rozkazy, używałem pseudonimu "Biegly". I kiedy jeden z łączników wpadł, a znaleziono przy nim materiały podpisane moim pseudonimem, Niemcy zaczęli szukać "Bieglego". Aresztowali wtedy wiele osób, na początku listopada 1944 r. przyszli i po mnie. Przydała mi się wtedy znajomość alfabetu Morse'a! Dwa tygodnie wcześniej został aresztowany dowódca mojej osłony Antek Kupicha, też radiowiec. Nie wiedziałem, czy moje aresztowanie nie nastąpiło wskutek jego wpadki.

Wprawdzie siedzieliśmy w różnych celach, ale na przesłuchanie do gestapo powieźli nas tym samym samochodem. Samochód w środku miał ławkę. Posadzili nas na tej ławce plecami do siebie, zwiążali ręce drutem. Nie było wolno nawet jednego słowa powiedzieć. Dotykając Antka ręką nadałem mu SOS. Dłużej przytrzymałem dłoń - kreska, krócej - kropka. Zorientował się od razu. I tak za pomocą alfabetu Morse'a zapytałem, co Niemcy wiedzą i skąd te aresztowania.

Gestapo między innymi chciało się ode mnie dowiedzieć, czy znam "Bieglego"... żeby nakłonić mnie do mówienia, najpierw stosowali tortury psychiczne. Lokatora domu, w którym mieszkałem (nazywał się Stanisław Mądry), złapanego z bronią w rękę, męczyli na moich oczach. Tortury, bicie, wieszanie... A do mnie mówili: patrz, to samo czeka i ciebie. Mnie nie bili, tylko topili w wannie. Topili, cucili, potem znowu topili... Trudno o tym mówić, nawet po tylu latach. Chociaż człowiek nigdy nie wie, ile w nim siły, ile jest w stanie wytrzymać, aż do momentu próby. W każdym razie nie dowiedzieli się ode mnie niczego.

A skończyło się tak, że wywieźli mnie do obozu, razem z Kupichą. Przeszedłem przez Gross-Rosen, Mittelbau-Nordhausen, Bergen Belsen. Byłem na pograniczu życia i śmierci. To były naprawdę trudne czasy...

Red.: A gdzie zastał Pana koniec wojny?

SP7LA: 15 kwietnia 1945 roku zostałem uwolniony przez wojska angielskie z obozu w Bergen Belsen. Po kilku miesiącach rekonwalescencji w wojskowym szpitalu powróciłem do Polski. To był sierpień 1945 roku. Wkrótce potem aresztowano mnie, między innymi za rozmowy o Katyniu, i kilka miesięcy spędziłem w więzieniu. Po zwolnieniu zamieszkałem w Łodzi.

Red.: Kiedy po wojnie zajął się Pan ponownie krótkofalarstwem i jaki był Pana sprzęt nadawczy?

SP7LA: Odnowione kontakty z kolegami sprawiły, że szybko wróciłem do krótkofalarstwa. Byłem delegatem na zjazd założycielski PZK w 1946 r. W 1957 uzyskałem licencję i znak SP7LA.

Zbudowałem wtedy lampowy nadajnik, który zresztą był prezentowany na Międzynarodowych Targach Poznańskich (1kW, 2 sztuki lamp 4-400A, wszystkie pasma bez WARC). Po targach sprzęt został zakupiony przez MSW.

Red.: Za czasów komunistycznych, ówczesne władze nie doceniły Pana działalności konspiracyjnej i została zabroniona Panu praca krótkofalowca?

SP7LA: Tak. Nie miałem licencji SP7LA przez prawie 10 lat, a zostałem jej po-



Nadajnik wystawiany na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Przy nadajniku Klemens SP2BE i Emil SP2CC.

zbawiony, kiedy wyszła na jaw sprawa radiostacji. Nie starałem się o jej zwrot, bo uważałem, że zostałem skrzywdzony. Po nadaniu reportażu p. Machejki przez łódzką TV, nadeszło około 100 listów popierających mnie. Zostałem przeproszony, a po przeprosinach oddano mi moją licencję.

Dostałem nawet Krzyż Kawalerski, oddano mi też licencję oryginalną, przedwojenną. Później zostałem doceniony i na przykład w 1960 roku otrzymałem jako pierwszy w Polsce licencję 750W. Znali moje umiejętności techniczne i chcieli dowiedzieć się, jak będzie z zakładóceniami. Ale nie było skarg od sąsiadów, więc zaczęto wydawać w Polsce kolejne licencje na dużą moc.

Jeszcze jedno, przesowałem w łódzkim Oddziale PZK. Za społeczną pracę otrzymałem bardzo pochwalny list od kolegów. Nie chciałem dalej przesować, bo żądano, abym opiniował kandydatów ubiegających się o licencje. Ja, bezpartyjny, były żołnierz AK, nie chciałem się mieszać do takiej polityki. Nie chciałem mieć kontaktów z ludźmi z ówczesnej opcji politycznej.

Red.: Wiem, że przez wiele powojennych lat usiłował Pan ustalić powstańcze losy Błyskawicy. Czy w ostatnim czasie doszły jakieś nowe fakty?

SP7LA: Radiostacja została ode mnie zabrana w noc sylwestrową przez miejscowe władze konspiracyjne Armii Krajowej i miała po kilku dniach zostać przetransportowana do Warszawy. Tak się nie stało. Była składowana w stodole pod sianem, gdzie przeleżała podczas różnych temperatur i zawilgotniała. Do-



Panowie: Kwiatkowski (historyk Polskiego Radia), Kitzner, Brodziak, Zębik.

piero przed samym powstaniem została zabrana z Częstochowy i przewieziona do Warszawy. W Warszawie była składowana w paczkach przed garażami na jednym z podwórek, również w bardzo złym czasie, bo padał na nią przez kilka dni deszcz. Napiła się wody do tego stopnia, że jak ją koledzy uruchamiali, to podobno z przyrządów pomiarowych wylewali wodę. A nie było to przecież urządzenia budowane jako wodoodporne, miała ona pracować w określonym miejscu.

Więcej szczegółów na ten temat jest na filmie, który znajduje się w archiwum telewizji łódzkiej. Ja mam zachowane oryginalne, ściśle tajne rozkazy do mnie, m.in. z komendy głównej Sił Zbrojnych Kraju, które przechodziły przez różne ręce. Są tam spisy części, oryginalne fotografie Błyskawicy, które Panu udostępniłem, mimo że są to już ostatnie zdjęcia i w zasadzie nikomu ich nie wypożyczam.

Red.: Widzę, że ma Pan w swoim kąciuku sporo urządzeń własnoręcznie wykonanych. Proszę przybliżyć, czym się Pan zajmuje teraz.

SP7LA: Mam wiele własnych opracowań. Oprócz sprzętu fabrycznego - transceivera FT980 - mam własnoręcznie zbudowany tranzystorowy 100-W nadajnik sterowany z odbiornika komunikacyjnego ICR7 firmy Icom. Odbiornik ten nabyłem w stanie wojennym. Poczyniłem pewne zmiany i powstał transceiver. Poczwońna przemiana z pierwszą p.cz. 73MHz, mieszacze z automatycznie zmienianą wstęgą na wszystkie pasma krótkofalarskie. Wykorzystuję jeden mikrofon przełączany na trzy urządzenia. Interesują mnie mikrofony, jako że z wykształcenia i zamiłowania jestem akustykiem. Mam nawet taki przyrząd do odsłuchu na słuchawki różnych mik-

rofonów. Posiada on trzy gniazda: Icom, Yaesu, Kenwood, i mogę sprawdzać i porównywać mikrofony ze swoim, który jest bardzo dobrej klasy. Jest to ważne, szczególnie dla krótkofalowców chcących mieć bardzo dobry sygnał.

Od pewnego czasu przerzuciłem się na urządzenia pomiarowe. Zrobiłem np. GDO z podłączanym licznikiem częstotliwości, aby nie zmieniała się częstotliwość po zbliżeniu do obwodu, miernik do pomiaru anten, częstotliwości i impedancji anteny. Jest także miernik indukcyjności i dobroci obwodów mierzący już w nH (czyli od zgiętego kawałka drutu w kształcie U). Wykorzystuję także SWR meter, ale wyposażyłem go w trzy mierniki (do kalibracji SWR i mocy). Drugi SWR meter jest na wyższe pasma, od 100 do 500MHz.

Mogę pochwalić się własnej roboty wzmacniaczem 60W KF, całkowicie tranzystorowym, wykonanym nieomal profesjonalnie. Na UKF zbudowałem wzmacniacz 10W i 50W. Ostatnio zbudowa-

wałem zasilacz - sterownik antenowy na przekaźnikach koncentrycznych, który - łącznie ze wzmacniaczem - będą wykorzystywał już w nowym QTH.

Zrobiłem na bazie angielskiego kitu urządzenie do kontroli odległości długość kresek i mogę kontrolować swoje nadawanie na CW. O proszę, jak działa.

Red.: Czy mając tak duże doświadczenie konstruktora mógłby Pan udostępnić Czytelnikom CER jakiś opis urządzenia do własnoręcznego wykonania? Opisy takie, szczególnie sprawdzone, cieszą się dużym powodzeniem.

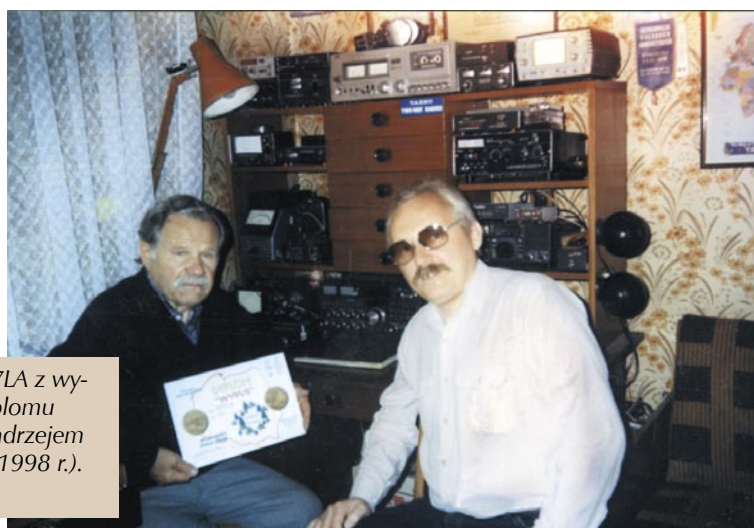
SP7LA: Ze względu na swoje doświadczenia nie mogę spełnić Pana prośby. Układy moje są trudne do odwzorowania. Człowiek buduje, stosuje nie takie jak ja części, a potem ma problemy, że efekt jest nie taki, jak powinien być. Zresztą obecnie, szczególnie budowa transceivera o nowej technologii w warunkach amatorskich, jest niemożliwa. Jedynie co mogę udostępnić, to rysunek anteny Delta, która pracuje w sześciu pasmach amatorskich. Sprawdziłem to z dwoma łódzkimi kolegami. To jest godne rozpowszerechnienia.

Pomimo że pismo CER jest bardzo ładne i wydawane profesjonalnie, to nie będę publikował opisów, ale za to odpowiadam na listy dotyczące różnych problemów technicznych, bo tak zobowiązałem się wobec swojego klubu SP OTC.

Red.: Dziękuję za rozmowę i życzę dużo zdrowia.

SP7LA: Również dziękuję za wizytę i jeśli uzna Pan za pożyteczne, to proszę na warunkach honorowych opublikować schemat mojego GDO w konkursie "Domowe Laboratorium".

Z Antonim Zębikiem SP7LA rozmawiał Andrzej Janeczek SP5AHT



Antoni SP7LA z wydawcą dyplomu WYKUS Andrzejem SQ7BCG (1998 r.).